

WSTĘP

Jest to książka szczególna i chyba niezwykła, **dokument, świadectwo i opis PROWOKACJI** międzypaństwowej, zaplanowanej „naukowo” przez najlepszych na świecie kryminologów na 15 – 20 lat, ale trwającej już lat pięćdziesiąt. Dlaczego? Bo „**prowokacja**” (każda), czyli ingerencja w naturalny spontaniczny rozwój, „**podstępne działanie mające na celu nakłonienie kogoś do określonego postępowania, zwykle zgubnego w skutkach dla tej osoby**” i innych powiązanych osób lub całych instytucji, nigdy nie jest przewidywalna do końca, „**rozkład gęstości prawdopodobieństwa**” rozwoju sytuacji, pomiędzy początkowo dwoma, a następnie wieloma stronami, jest nieskończony. Właśnie dlatego każda prowokacja jest zbrodnią przeciw naturze i społeczeństwu. Wobec tego nie ma racji Pierwszy Prezes Sądu Najwyższego prof. dr hab. Lech Gardocki, który opublikował niedawno artykuł w „Rzeczpospolitej” i zapewniał, że prowokacja jest dopuszczalna, ale tylko dla „państwa”, że państwo powinno mieć monopol na prowokację. Bo jeśli jest dopuszczalna dla „państwa”, no to jest również dopuszczalna dla jednego państwa przeciw drugiemu i jest dopuszczalna w ogóle, jako taka. A to, chyba jest nie do przyjęcia.

Poza tym jest to książka dokumentalna zawierająca dokumenty i opis przebiegu w TRYBUNALE KONSTYTUCYJNYM wniesionej przeze mnie SKARGI konstytucyjnej, oraz mego wniosku o przyznanie mi od Trybunału odszkodowania za naruszenia prawa (ustawy o Trybunale) dokonane w trakcie rozpatrywania tej skargi.

Ale do rzeczy, do mojej sprawy. Niestety, na mnie „padło” to nieszczęście, że stałem się jej „ofiarą” – przedmiotem prowokacji i ponieważ nie zanosì się na rychłe jej zakończenie, a bardzo poważne kolejne stadium właśnie dobiegło do następnego negatywnego dla mnie końca, postanowiłem jeszcze raz tą **ohydną ZBRODNIĘ państwową** ujawnić i w miarę możliwości wedle swej najlepszej woli i wiedzy opublikować. Ze „sprawą” mimo wielkich trudności zawędrowałem aż do TRYBUNAŁU Konstytucyjnego. Prezes Trybunału **prof. Marek Safjan wypowiadał się przez lata tak „ładnie”**, że pokładałem w Trybunale wielkie nadzieje, Niestety, okazały się płonne, bo Trybunał orzekł o niedopuszczalności wydania orzeczenia w mojej skardze przeciw art. 535 p. 2 k.p.k., moim zdaniem, wielokrotnie sprzecznie z wymogami ustawy o Trybunale.

Proszę łaskawie zauważyć tą moją uwagę: „**moim zdaniem**”, której nie będę więcej powtarzał, bo jest chyba jasne, że **jestem wraz ze swoją rodziną** jedną z najbardziej poszkodowanych OFIAR (poza Gomułką i jego rodziną) tej zbrodni, i wszystko co piszę, **piszę moim zdaniem**. Już zdanie mojej żony i ogółu mojej rodziny i znajomych, jest całkiem inne, a mianowicie, że to ja jestem „głupi”, „głupi” i jeszcze raz „głupi” (zacięcie nie zgadzając się na współpracę) i moja głupota spowodowała wszystko zło, jakie nas spotkało. Przyznaję się „bez bicia”, że jestem faktycznie nawet „idiotą”, bo czytałem przecież PROCES Kafki.

Wspomniałem powyżej, że **ponownie** ujawniam tą zbrodnię, bo już 25 lat temu, na przełomie 1981/82 roku będąc na wygnaniu w Niemczech i na azylu politycznym, opublikowałem najpierw w języku niemieckim (w nakładzie 2000 egzemplarzy), a następnie w polskim (tylko 150, egzemplarzy) małą książeczkę dokumentalną pt.: „*Sie haben mein*

Auge mit Gift im Tee vernichtet, ANKLAGESCHRIFT gegen den polnischen Sicherheitsdienst und gegen polnischer Politiker“. Dałem ogłoszenie w die Zeit i niemieckie wydanie rozeszło się na cały świat, czemu nie mógł się nadziwić właściciel drukarni w Oberursel pan Juergen Dietrich, który radził drukować nie więcej jak 500 egzemplarzy. Pan Dietrich pomylił się, bo nie brał pod uwagę mojej aktywności, a ja osobiście sprzedałem bardzo dużo, po prostu jeżdżąc po Fussgaengerzonach, dziedzińcach Uniwersytetów i różnych „prawicowych” wiecach całych Niemiec Zachodnich. Ale tak w ogóle, to pan Dietrich pomógł mi pod każdym względem niesamowicie (np. nauczył mnie już wtedy, w 1981/82 roku, posługiwać się komputerem) i dopuścił mnie do swoich nowoczesnych aparatów, za co jestem mu bardzo wdzięczny i z tego miejsca jeszcze raz dziękuję.

Moja ówczesna relacja była raczej naiwna, co chyba jednak dodawało jej wiarygodności. Ja w tamtym czasie (1981/82) byłem prawie „zielony” w polityce i jej praktycznych skutkach. Ale zaczynałem się uczyć, a skrajne reakcje kupujących książkę dawały mi dużo do myślenia, a czasem wręcz szokowały. Jedni oglądając książkę np. śmieli się ze mnie lub pukali się w głowę, chcąc wyrazić swoje przekonanie o bzdurze, którą wciskam, a inni kiwali ze współczuciem głową i ściskali mi rękę w dowód uznania za publikację. Ale tak naprawdę to zaszokował mnie jakiś profesor kryminologii na dziedzińcu Uniwerku Frankfurckiego. Jednego dnia kupił książkę i poszedł. Przyszedł następnego dnia, starszy, poważny pan, przedstawił się i śmiał się ze mnie do rozpuku: „**Panie Kowalczyk, pan opisuje swoją historię jak by to było coś nadzwyczajnego i sensacyjnego, a wszystkie te numery i numerki, co Pan opisuje, są znane i powszechnie stosowane od setek, jeśli nie tysięcy lat, na całym świecie.**” Po takim dictum byłem już na wszystko uodporniony.

Mieszkałem w Niemczech pod Frankfurtem nad Menem, a tam właśnie co roku odbywały się wielkie targi książki, na które zjeżdżał się cały świat. Miałem więc blisko do potencjalnych wszystkich wydawców. Mojej książki, już po przeczytaniu tytułu i pobieżnym oglądzie NIKT nie chciał wydać, ani nawet rozmawiać na ten temat. Żaden polski, niemiecki, czy anglojęzyczny wydawca. „Książę” Giedroń z Paryża nie chciał mnie w ogóle widzieć (znał książkę z wysłanego mu wcześniej wydruku), nie mówiąc o pomniejszych polskich wydawcach z Anglii, czy Niemiec. Pani Hertzowa (sekretarka szefa KULTURY i główna współpracownica) na targach, spytała mnie krótko: „*czy pan myśli, że Paryż jest „daleko” od Warszawy? Czy Pańska żona żyje w strachu? My nie mamy zamiaru bać się tak, jak boi się Pańska żona.*” „*Nawet najpotężniejsze wydawnictwa amerykańskie Panu tego nie wydadzą.*” To się sprawdziło w 100 %, następnych moich książek też nikt nigdzie nie chciał i nie chce wydawać. To jest część, fragment, tzw. „**zabijania przez milczenie**”, programu potężnego obozu, dla którego publikacja takiej relacji była szkodliwa. Nie ma sprawy, pomyślałem. Założyłem swoje wydawnictwo w Niemczech i wydałem sam dwie książki: wspomniany „Akt Oskarżenia” i „Nieantagonistyczną teorię rozwoju – Ideologię Ofiar”, Frankfurt 1989. Tu, teraz, też zgłosiłem działalność wydawniczą i wydaję samodzielnie.

Książkę musiałem wydać, mimo wielkiego oporu ze strony wszystkich bliskich i znajomych, trochę orientujących się „w sprawie”. Po tym co przeżyłem już w kraju, a to się później okazało tylko „preludium”, zrozumiałem dobitnie, że „**wiem za dużo**” i zostałem skazany na śmierć, aby potencjalność formalnego potwierdzenia tego, co wiem, znikła. Narzucało mi się pytanie: **czy i w jaki sposób mogłem się obronić?** i tylko jedna, być może

błędna odpowiedź: **ujawniać, wszystko co wiem ujawniać wszem i wobec, bo gdy tajemnica jest powszechnie znana, przestaje być zagrożeniem dla jej posiadacza.** Nie ma potrzeby zabijać „świadka zbrodni” gdy wszystko o niej jest już powszechnie znane. CZYLI KSIĄŻKĘ MUSIAŁEM WYDAĆ. Ale rozumowałem chyba błędnie (tak myślę, ale nadal tego rozumowania się trzymam), bo nie tylko nic mi to nie pomogło, (u żadnej ze stron konfliktu – prowokacji – zawsze są dwie strony, dwa przeciwieństwa) ale zaostrzyło sytuację. Wkrótce, już na wiosnę 1982 r. dowiedziałem się, że za opublikowanie tej głównianej książeczki zostałem skazany formalnie na śmierć, a zaraz po tym poczułem podejrzane „ruchy” wokół siebie. Tam, w NRF.

W treści książeczki zrobiłem 2-3 zasadnicze błędy, można powiedzieć „redakcyjne”, ujawniłem „**za dużo PRAWDY**”. Drukarz, Pan Dietrich, dobry znajomy mego gospodarza, zgodził się drukować, ale pod warunkiem, że uzyskam akceptację zawodowego redaktora, którego mi wskazał. Ten zakwestionował kardynalnie 2 kwestie i dodatkowo radził zrezygnować z pochwalenia się, że w czasie wojny zastrzeliłem dwóch Niemców. Przecież, to nierozsądne (głupie), nieuprzejme i aroganckie, jestem przecież u NICH w gościnie. To znaczy, on mi tych epitetów nie wypowiedział i tylko krótko zwrócił mi uwagę, że nie powinien tego podawać – ja sam się tych określeń domyśliłem, tym bardziej, że wtedy w Niemczech trwała zażarta walka polityczna pomiędzy bardzo wpływowymi tendencjami pro i anty komunistycznymi, oraz coraz silniej odzywały się „ciągoty” neonazistowskie. Ale ... przecież ja byłem wtedy (i jestem teraz) GŁUPI (tak mówi moja żona, a ja w zasadzie przyznaję jej rację). Na temat dwóch pozostałych kwestii był dosyć poważny spór: PRIMO – *nazwisk nie drukuje się w pełnym brzmieniu*, --- SECUNDO – *„Pan sugeruje miejscami, że zbrodnia jest objawem zbroczenia seksualnego, oskarża Pan o zbrodnię najwyższych dostojników wielkiego mocarstwa, czyli Pan ich w niewybredny sposób obraża”*. Redaktor wysłuchał moich wyjaśnień, że ja jestem tylko „szczery do bólu”, bronię tylko swego życia i swego JA, które jest mocno zagrożone i próbuję „ich”, zbrodniarzy, ośmieszać, bo „śmiech” to moim zdaniem, najlepsza broń „pokojowa”. Nazwisk kilka chcę i muszę podać, bo jak mnie jutro zarzną, lub zatłuką pałkami, wiadomo będzie kto to zrobił i gdzie ewentualnie szukać śladów. Poszliśmy na kompromis, ja zrezygnowałem z kilku nazwisk w ogóle, ale przy kilku pozostałem, obiecałem złagodzić zbyt ostre sformułowania nawiązujące do związków zbrodni, poniżania i zbroczenia seksualnego i ... REDAKTOR zaakceptował tekst do druku (zaznaczając, że to na moją odpowiedzialność, czyli że **on rozumie, że ja rozumiem co robię**). Ja oczywiście wcale nie rozumiałem tego co robię i szedłem za głosem instynktu. I do dzisiaj myślę, że częściowo słusznie.

Książka została wydrukowana i sprzedawałem ją przeważnie osobiście na ulicach i uniwersytetach. Kryminolog śmiejący się ze mnie na Uniwersytecie Frankfurckim wprowadził mnie w błąd (pośrednio usprawiedliwiał zbrodniarzy), że to „takie pospolite” metody, bo dla jednych, nastawionych pro rewolucyjnie, było to nic, ale dla innych, bardzo wielu, była to „*wstrząsająca relacja*”. Zadzwoił do mnie i krótko rozmawiał (jakby przestraszony), sam Kanclerz Kohl. Tam wtedy trwała ofensywa sił antyamerykańskich. Widać to było na każdym kroku, chociażby na ulicznej, szeroko wówczas przyjętej, sprzedaży publikacji i książek. Niektórzy księgarze wystawiali mi stolik na ulicę, którą szły

tysiące ludzi i tam sprzedawałem. Sam jeden z jedną książeczką antykomunistyczną. Ale po drugiej stronie ulicy stały 3 stoiska, bogato zaopatrzone, w różne materiały, publikacje i książki antyamerykańskie i prokomunistyczne. Na dziedzińcu uniwerku frankfurckiego tylko ja sprzedawałem książkę antykomunistyczną, a 5 – 10 sprzedawców sprzedawało materiały komunistyczne. Narobiłem więc jednak trochę zamieszania w „rewolucyjnym” nastawieniu części społeczeństwa niemieckiego. Ale wkrótce musiałem zniknąć z widoku publicznego, bo wykryłem, że „Revolutionaere Ziele”, najgroźniejsza i do końca nie złapana drużyna terrorystów i morderców w NRF (zamordowali ministra Karry’ego), w porozumieniu z Warszawą, zaplanowali mnie zastrzelić na dziedzińcu Uniwersytetu Frankfurckiego. Po nitce do kłębka, po kilku nitkach, bo z kilku źródeł i śladów, domyślałem się nawet KTO pojechał do Warszawy i do kogo, by uzgodnić cenę. Bo oczywiście, nie za darmo. Ciekawe czego zażądali i co Jaruzelski im obiecał za tą usługę? Generał, gdy dostał taką ofertę, musiał się zgodzić, bo chociaż wysłał już wcześniej warszawską ekipę ze znanym nożownikiem na czele, zawodowym mordercą MSW, by mnie „załatwiła”, to nie mógł się do tego przyznać mafii niemieckiej. Gangi powinny szanować swoje terytoria. W ten sposób wpadłem „w dwa ognie”. Revolutionaere Ziele zastrzelili ministra Karry o 4.00 rano, śpiącego obok żony w sypialni na piętrze willi. Przystawili aluminiową drabinę i przez okno oddali śmiertelną serię. Była to wielka afera w NRF i rząd ustanowił specjalną Komendę policji do wykrycia sprawców. Ja o swoim podejrzeniu i przyczynach tego podejrzenia zameldowałem na piśmie na swojej Komendzie powiatowej. Ci odesłali mnie do tej specjalnej Komendy do sprawy ministra Karry’ego. W swoim meldunku powoływałem się na istotny ślad rozpoznanego przeze mnie i pilnie poszukiwanego człowieka, podejrzanego o udział w tym mordzie. Mimo to Komenda nie zainteresowała się moją rewelacją. Rok po morderstwie, prokurator generalny Saksonii zamknął sprawę, stwierdzając, że Komenda zbadła bardzo szczegółowo tysiąc sto kilkadziesiąt śladów – niestety, nic nie znalazła takiego, by doprowadziło to do wykrycia sprawców. Mojego śladu chyba nie badali, bo mnie wcale nie przesłuchiwali. Ja po tej historii dostałem takiego stracha, że przez 3 miesiące bez przerwy wędrowałem po całej Europie, co 3 dni zmieniając miejsce zatrzymania. Skończyły mi się pieniądze co miałem i dopiero wtedy wróciłem do domu w Northeimie (powiat Friedberg), gdzie zamieszkiwałem. Poza tym na decyzję o powrocie wpłynął jeszcze taki przypadek: przyjechałem do Monachium po południu, zatrzymałem się w malutkim hoteliku, zameldowałem się tym razem pod własnym nazwiskiem i wyszedłem na miasto. Wróciłem około północy, a recepcjonistka mi mówi, że telefon był do mnie z Warszawy. Trzy miesiące nie dawałem znaku życia, nikt nie wie gdzie ja jestem, a tu raptem telefonistka mnie znalazła. Dotarło do mnie dobitnie, że w Europie człowiek nie ma szans się ukryć. To po co się ukrywać? O tej historii z Revolutionaere Ziele do dzisiaj nikomu, oprócz policji niemieckiej i jednemu ich agentowi (oraz żonie), ani słowa nie powiedziałem, ale teraz pomyślałem, że to już 24 lata mija (wszystko to działo się w 1982 r.), a przyczynek do historii europejskiej mafii komunistycznej jest ciekawy i warto go zaanonsować nawet w takiej szczątkowej formie.

AKT OSKARŻENIA – Wypalili mi oko – w języku polskim wydrukowałem tylko w 150 egzemplarzy, z tego 50 poszło do jednego z księgarzy polskich do Australii, drugie 50 rozeszło się po Ameryce i reszta po NRF’ie i Europie. Do kraju poszło tylko kilka, lub co najwyżej kilkanaście egzemplarzy, przeważnie do dziennikarzy i agentów SB. Z polskich

bibliotek przy parafiach polskich w NRF'ie agencji SB i WSW wszystkie te sztuki wykradali. Ja dostarczałem, a po jakimś czasie sprawdzałem katalog i książki już nie było. Do Biblioteki Polskiej w Paryżu, założonej jeszcze przez Mickiewicza, wysyłałem książkę trzykrotnie i dyrekcja ani razu jej w katalogu nawet nie umieszczała. SB i WSW na bieżąco dbała o to by jej po polsku nigdzie nie było. Gdy wydałem i ogłosiłem wydanie niemieckie, to Niemiecka Biblioteka Narodowa w Lipsku (DDR) natychmiast napisała do mnie z prośbą bym im chociaż jeden egzemplarz przysłał, gdyż oni mają ambicję, by każda pozycja co ukazuje się w języku niemieckim na całym świecie, była w zasobach tej biblioteki. Nie sprawdzałem, ale wydaje mi się, że u nas nawet w naszej Bibliotece Narodowej tej książki jak dotąd nie ma. Z tych względów postanowiłem zareklamować ten tekst ponownie, bo opisana w nim **PROWOKACJA PRZECIW NARODOWI POLSKIEMU** miała 30 lat dalszego ciągu, bo prawie tyle trwa „sprzątanie” (usuwanie śladów) WSW po niej i teraz zamknął się właśnie etap na najwyższej hierarchii, bo w TRYBUNALE KONSTITUCYJNYM, który orzekał w sprawie mojej skargi konstytucyjnej przeciw art. 535 p.2 k.p.k., związanej z moją sprawą w sądach o REHABILITACJĘ, czyli o „odszkodowanie i zadośćuczynienie z tytułu oczywiście niesłusznego aresztowania połączonego ze szczególnym udrczeniem i ciężkim uszkodzeniem ciała”, czyli według kwalifikacji prawnej z art. 552 p. 4 k.p.k. w zw. z art. 105 p. 2 k.k. zakończonej wyrokiem o przedawnieniu roszczenia i oddaleniem kasacji przez Sąd Najwyższy jako „**oczywiście bezzasadnej**” przepisem art. 535 p. 2 k.p.k..

Ponieważ dowiedziałem się właśnie o wyroku Trybunału wydanym innemu obywatelowi skarżącemu ten sam przepis K.p.k. i uwzględniający skargę tzn. przyznający, że art. 535§2 k.p.k. jest sprzeczny z Konstytucją, a mojej skardze Trybunał odmówił wydania orzeczenia i ponieważ w orzeczeniu dla mnie, czyli w Postanowieniu Trybunału Konstytucyjnego (orzeczeniu o niedopuszczalności wydania orzeczenia) znalazłem 10-12 sprzeczności z ustawą o Trybunale, napisałem wniosek o przyznanie mi odszkodowania za sprzeczność z prawem (na zasadzie art. 58 KC i art. 421 k.p.c. i innych) Postanowienia Trybunału. Bo, czy nawet taka instytucja jak Trybunał Konstytucyjny ma prawo do wydawania w odstępie kilku miesięcy wydawać dwa różne, sprzeczne ze sobą orzeczenia? Czy Trybunał ma prawo do naruszania ustawy o Trybunale i do narażania obywateli na niepotrzebne ponoszenie kosztów? Czy Trybunał ma prawo do obrony interesów Sądu Najwyższego, kosztem praw obywatela, co najwyraźniej „wyłazi” w Protokóle rozprawy i w Postanowieniu w mojej skardze SK 48/04? Jeśli ja skarżyłem ten sam przepis prawa, czy mimo wszystko tzn. mimo „powszechności” obowiązywania Jego WYROKÓW, do dobrych obyczajów Trybunału, nie należało mnie oddzielnie zawiadomić o zmianie stanowiska Trybunału w tej kwestii? Co może być przyczyną takiego postępowania? Doszedłem do wniosku., że przyczyną był po prostu UKŁAD KORUPCYJNY pomiędzy dr. Lechem Paprzyckim, Prezesem Sądu Najwyższego i Przewodniczącym Składu Trybunału, oraz Sędzią Sprawozdawcą Składu, a być może z całym składem Trybunału, który rozstrzygał moją skargę. Napisałem pisma, skargi i w końcu wnioski o stwierdzenie nieważności, oraz o odszkodowanie, do Prezesa Trybunału prof. M. Safjana, ale o dziwo, Dyrektor Biura Trybunału prof. M. Zubik odmówił odpowiedzi merytorycznej na moje skargi i wnioski i zwyczajnie odesłał mi z powrotem moje pisma (to jest stary biurokratyczny sposób pozbywania się kłopotliwej sprawy, całego naszego systemu prawnego – odsyła się

skargę, czy wniosek i sprawy nie ma.). Zareklamowałem do Sekretarza Trybunału i wysłałem ponownie formalny wniosek o odszkodowanie. Sekretarz stanowczo obiecał mi, że odpowiedź dostanę i nawet wyznaczył krótki, tygodniowy termin. Przez miesiąc odpowiedzi merytorycznej nie dostałem, a tylko pismo prof. M. Zubika, że odpowiedzi żadnej nie dostanę. W tej sytuacji zdecydowałem opublikować w wydaniu książkowym całą sprawę.

A więc PROWOKACJA żyje nadal swoim „życiem”.

Jaka prowokacja, czyja i przeciwko komu? Napisałem już prawie 8 stron „wstępu” i chyba jeszcze nic nie wyjaśniłem, **co to za PROWOKACJA?**

Po „prawie” powstaniu w czerwcu 1956 roku w Poznaniu, tendencje demokratyczne, zawsze obecne w społeczeństwie polskim, wybuchły z nową siłą i rozlały się po całym kraju. „Partia” wpadła chyba trochę w panikę, ale szybko znaleźli lekarstwo. Bierut podobno zmarł w Moskwie i trzeba było na gwałt „wybrać” nowego Sekretarza PZPR. Na kandydata wystawili jeszcze niedawno siedzącego w więzieniu, przez Stalina przeznaczonego na ścięcie metodą jak Słańskiego, starego przedwojennego komunistę, Władysława Gomułkę, Wiesława. I oczywiście go wybrali. W ten sposób w dużym stopniu uspokoiли nastroje narodu. Każdy wierzył, że człowiek, który „cudem” uniknął śmierci z rąk władców bloku sowieckiego, chociaż komunista, zmieni wszystko na lepsze. Pamiętam olbrzymi wiec zwołany przez Gomułkę pod Pałacem Kultury. Nastroj tłumy był bardzo mu przyjazny. Później, gdy usadowił się już u władzy ze swoją ekipą, ostrożnie, ale na pewno robił co mógł, by narodowi ulżyć i dać więcej wolności. Polska była krajem wyjątkowym w Bloku państw „demokracji ludowych” – kolektywizacja rolnictwa nie została zrealizowana, chłopci robili przeważnie na swoim, a więc mieli trochę wolności. Nowa ekipa wspierała rozwój rzemiosła i drobnej przedsiębiorczości. Chyba trzy razy z wielkim szumem Gomułka ogłaszał „zielone światła” dla tzw. „inicjatywy prywatnej”. Dlaczego trzy razy? Bo gdy „zielone światła” się zapalały, beton partyjny na dole i wszędzie, te „światła” gasił.

Gdy Gomułka doszedł do władzy, zwyczajowo powinien jechać z wizytą do Moskwy, ale coś się nie śpieszył i ... Chruszczow, zdaje się, bez uprzedzenia, przyleciał do niego. Przyleciał i musiał dwie godziny krążyć nad Warszawą czekając na zezwolenie lotniska na lądowanie. Ja osobiście przypuszczam, że już wtedy nad Warszawą, ekipa Chruszczowa zadecydowała, że **Gomułka MUSI ODEJŚĆ** i w ogóle trzeba wymyślić coś „mądrego i ... zmienić USTRÓJ POLSKI. Bo żadnego zaufania do Polski nie można było mieć (Gomułka mógł np. pójść drogą Tity).

Już w rok później Sekretarz partii w Łodzi Mieczysław Moczar ogłosił w prasie sensacyjny artykuł pt. PLAN GEHLENA, mianowicie jak szef służb specjalnych NRF’u planuje rozbicie bloku państw demokracji ludowych poprzez związki zawodowe i w jakim terminie. Gomułka musiał za takie osiągnięcie natychmiast awansować MOCZARA. Skąd Moczar mógł zdobyć informacje o takim planie? Dostał je oczywiście z Moskwy. Wkrótce Moczar został vice ministrem spraw wewnętrznych, a następnie Ministrem i generałem. Na arenie partyjnej stał się głównym konkurentem i pretendentem do objęcia ewentualnej schedy po Gomułce.

Tyle tylko, że najpierw musiał Gomułkę usunąć, a Gomułka przyciągnął do PARTII milion, a może dwa miliony, nowych, młodych członków .

Symbolicznym przykładem jak w komunizmie wykańcza się konkurentów do władzy był mord Stalina na Trockim w Meksyku, siekierą. Ale w powojennych czasach zaczęto stosować bardziej „humanitarne” i perfidne metody.

Plan jak „załatwić” Gomułkę był nowoczesny i genialny, na sto procent przyszedł z Moskwy, opracowany przez NKWD. Kosztem jednego obywatela, a być może bez żadnych, poza Gomułką i jego rodziną, ofiar, realizuje obalenie ówczesnego przywódcy państwa, Pierwszego Sekretarza PZPR, wprowadza na jego stanowisko „swojego człowieka” i radykalnie zmienia ustrój państwa ze stosunkowo najłagodniejszej formy „demokracji ludowej”, na „na czarną” dyktaturę komunistyczną.

Zona Gomułki Zofia, była ŻYDÓWKĄ. Ja osobiście podejrzewam, że oskarżenie Gomułki i wsadzenie go do więzienia zlecone przez Stalina, pod zarzutem „odchylenia nacjonalistycznego”, też z tego faktu wynikało. Małżeństwo międzyrasowe było (i jest, np. jeszcze dzisiaj małżeństwa pomiędzy wyznawcą islamu, a chrześcijaninem, lub Żydem, jest nie do przyjęcia dla radykalnych i nawet umiarkowanych, islamistów, jak również dla Żydów) dla rasistów jeszcze bardziej ciężkim „grzechem”, niż samo pozostawanie obcym rasowo, a Stalin niewątpliwie był rasistą.

Zofia Gomułkowa miała siostrę, a ta męża, też Polaka, adwokata Jana Palatyńskiego. Prowokacja zaplanowała oskarżenie o ciężką zbrodnię, próbę zabójstwa i wsadzenie do więzienia adwokata Jana Palatyńskiego. Gdyby taki akt kryminalny nastąpił, Gomułka, sam, dobrowolnie, musiałby podać się do dymisji, a na jego miejsce Pierwszego Sekretarza, zaszokowana niesłychaną aferą PARTIA musiałaby wystawić i zaaprobować (stojącego w cieniu organizatora całej imprezy) generała Moczara.

Prosty plan, w szczegółach mocno skomplikowany i perfidny. Gdzie adwokat powinien zamordować??? Najlepiej w więzieniu. Morderstwo dokonane przez adwokata (lub próba mordu), w więzieniu – takiej sensacji jeszcze nie było. Plan był szczegółowo opracowany już w 1961 roku, otrucie ofiary przewidywał w 1969. To miał być punkt kulminacyjny „WYDARZENIE MARCA 1968”, rzekomych „rozruchów” studenckich i „dobrowolnej” emigracji 20.000, resztki ŻYDÓW (tzn. Polaków żydowskiego pochodzenia), jakie pozostały po Holocaust’cie, (Endloesung) hitlerowskim, z 6 milionów obywateli polskich pochodzenia żydowskiego, zamieszkujących od setek lat tereny polskie.

Do wykonania planu potrzebna była ofiara, osobnik w więzieniu, broniony przez adwokata Jana Palatyńskiego, oraz specjalna mieszanka trucizn, które musiały działać śmiertelnie, ale powoli, a więc, by był czas wywieźć więźnia z więzienia do szpitala, by przepompować mu krew i uratować mu ewentualnie życie (by jeszcze w szpitalu wyłudzić od niego „odpowiednie” zeznania). Władze więzienne musiałby w takim wypadku wyrazić zgodę na wywiezienie więźnia z więzienia. Trucizna miała (i wywołała) czarną plamę na białku jednego z oczu, która to plama miała tak zaszokować ofiarę, by szok wywołał trwałe uszkodzenie mózgu.

Twierdzą, że plan przyszedł na 100% z Moskwy, bo do sporządzenia takiego planu polscy „fachowcy” od zbrodni, czyli esbecy, wtedy, w 1961 r. byli jeszcze na pewno nie zdolni, a poza tym, na pewno nie mieli do dyspozycji takiej mieszanki trucizn. Ta trucizna miała jeszcze jedno specjalne zadanie: wywołać czarną plamę na białku JEDNEGO oka, co według wiedzy wszystkich okulistów w Polsce, a jak się później okazało, również w

Niemczech, było fizycznie NIEMOŻLIWE. Jeśli następowało zatrucie, to obu oczy, zatrucie i wywołanie plamy na białku jednego oka, jest niemożliwe – tak uczą na wszystkich Akademiach Medycznych i tak, do dzisiaj, twierdzą, wszyscy okuliści. A więc wszystkie późniejsze twierdzenia i opisy ofiary tej „operacji” o jakiejś czarnej plamie na jednym oku, musiały być jego UROJENIAMI, czyli, w razie czego, w razie potrzeby, ofiarę można z całą pewnością kwalifikować, jako ciężko chorego psychicznie. Ale w Moskwie był i jest, podobno najlepszy na świecie Instytut Okulistyki i NKWD wiedziało, jak coś takiego można „zrobić”. Z Moskwy plan przyszedł już w 1960 roku, bo na wiosnę 1961 roku na temat moich oczu wypytywał mnie esbek.

Plan z Moskwy trafił do najwyższej w Polsce instancji w takim zakresie, bo do Wydziału Administracji Komitetu Centralnego PZPR, który sprawował nadzór i władzę nawet Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, czyli nad całym SB. Być może Moczar go dostał i zaniósł do Ociepki, ówczesnego kierownika Wydz. Adm. KC PZPR. Ociepko zlecił SB znaleźć kandydata na ofiarę i prowokatora i głównego świadka, którego zeznania sądowe miały zostać dowodem koronnym przeciw adwokatowi Palatyńskiemu. SB, czyli MSW, znali mnie jak „zły szeląg” i natychmiast wskazali, bo pasowałem do „sprawy” pod każdym względem wyśmienicie: byłem od paru lat klientem Palatyńskiego, znakomitego adwokata z dobrą „marką” (ale wtedy wcale nie wiedziałem, że jest szwagrem Gomułki), byłem „bogатыm” i zaciętym „wrogiem klasowym”, zawzięcie odmawiałem współpracy i na dodatek, co później okazało się bardzo ważne, jedno oko miałem uszkodzone w dzieciństwie.

Ociepko zatwierdził mnie natychmiast na „wystawienie”, ale niespodzianie, MSW założyło PROTEST. Kryminolodzy MSW stwierdzili, że proponowana przez Wydz. Adm. metoda jest przestarzała, że nowoczesna metoda takiej operacji zapewniająca gwarantowaną skuteczność, wymaga wystawienia własnego, przeszkolonego agenta, a zaangażowanie osoby postronnej, zawsze grozi fiaskiem. Jednocześnie MSW zaproponowało swego kandydata. Wydz. Adm. (Ociepko był kierownikiem, a zastępcą chyba już wtedy był Kania, późniejszy Pierwszy Sekretarz PZPR) odrzucił propozycje i uwagi krytyczne MSW i zatwierdził Jerzego Kowalczyka na „wystawienie”. MSW decyzję polityczną Wydz. Adm. KC PZPR przyjęło do wykonania, ale z zastrzeżeniem braku odpowiedzialności za ewentualne fiasko operacji. Był to „błąd sztuki” szefa Wydz. Adm. Ociepki, za który, moim zdaniem, zapłacił śmiercią, zginął podobno w katastrofie samolotu wojskowego nad Szczecinem (wkrótce po wystartowaniu) wraz z delegacją (podobno 32) generałów czechosłowackich przebywających w Polsce (chyba około 1972 roku) z wizytą kurtuazyjną na zaproszenie (chyba) Jaruzelskiego. Czytałem o tym króciuteńką wzmiankę gdzieś w prasie. Zastanawiałem się dlaczego Ociepko podjął ryzyko w planowanej tak olbrzymiej operacji, zakrojonej na cały kraj? „Wydarzenia MARZEC 1968” i wymuszanie emigracji (antyżydowskie wydarzenia i manipulacje) Żydów objęło cały kraj, a więc była to olbrzymia operacja. Punktem kulminacyjnym tej operacji miał być akt rezygnacji (HAŃBA) Gomułki ze stanowiska Pierwszego Prezesa, a następnie proces Palatyńskiego. OLBRZYMIA OPERACJA. Prawdopodobnie była to decyzja osobistości politycznej stojącej jeszcze ponad Ociepko (nie Moczara, bo Moczar stał na czele MSW, które protestowało), ale Ociepko decyzję firmował i był za nią odpowiedzialny. Ryzyko było minimalne, ale „opór materii”, nieprzewidziany przypadek, bezpośrednich błęd wykonawców, szczególnie wykonawców

zbrodni, którzy czują się bezkarni, są na porządku dziennym i minimalne ryzyko mogło przekształcić się w katastrofę, FIASKO olbrzymiej operacji przygotowywanej skrupulatnie kilkanaście lat i obejmującej cały kraj. Od chwili aresztowania w październiku 1964r., gdy prokuratorzy Kazimierz Pawelec (dzisiaj jest adwokatem i Rzeczpospolita drukowała jego felietony) i Paczyński przedstawili mi zarzuty, a na pierwszym miejscu zagamięcie mienia społecznego wielkiej wartości, co groziło karą śmierci (Wawrzecki z afery mięsnej został powieszony) i serdecznie mi radzili ustanowić na obrońcę Palatyńskiego lub jego współnika Wurcla (bardzo dobrych, znanych i wpływowych adwokatów warszawskich), a ja odmówiłem (po paru miesiącach, Pawelec zarządził rewizję mieszkaniową u wybranego przeze mnie obrońcy dr Sowińskiego i zmusił go do rezygnacji, a mój Ojciec ustanowił Wurcla), cały czas do chwili punktu kulminacyjnego w lecie 1969 r., kiedy ostatecznie złamał mnie mój adwokat Kazimierz Łojewski OBIECUJĄC KATEGORYCZNIE „zgniecie w więzieniu”, każdego dnia swoim zachowaniem pokazywałem swój protest i sprzeciw. W pierwszym okresie prowadziłem 364 dni głodówki więziennej i przyjeżdżali do mnie wszyscy by namawiać do zaprzestania oporu. Byli cała rodzina, Ojciec, bracia i wszyscy prokuratorzy zajmujący się sprawą, nawet szef Prokuratury w Warszawie Wydział II, Ostaś. Ten przy pożegnaniu sam stwierdził do siebie z żalem: „chyba nic z tego nie będzie”. No i stało się, NIC Z TEGO. Ale „organizatorzy” afery znali sytuację i mieli czas, nawet jeszcze w ostatniej chwili zrezygnować z Kowalczyka, który zrobi wszystko, by popsuć „sprawę” i wystawić kogoś innego. Albo powinni byli wystawiać od razu dwóch kandydatów, Kowalczyka i również swojego własnego, przeszkolonego agenta.

Przypadek i błąd wykonawców, tzn. agenta specjalnego ówczesnego prokuratora Milczanowskiego, po zmianie ustroju uchodzącego za działacza prawnicowego, którego Solidarność mianowała nawet na Ministra Spraw Wewnętrznych i który oskarżył w Sejmie premiera Oleksego o szpiegostwo, nie posiadając żadnych dowodów. To był oczywiście doskonały „NUMER” betonu komunistycznego, bo kompromitował SOLIDARNOŚĆ i całą pravicę. Tysiące Akowców zamordowanych przez komunistów fałszywymi oskarżeniami o szpiegostwo przewracało się w grobie, a komuniści się śmieli: „wy też fałszywie oskarżacie o szpiegostwo” – Szmajdziński w Sejmie upominał się o publiczne przeprosiny.

To „nic”, fiasko całej operacji, wyszło „o włos” i „o włos” operacja mogła się udać. Prokuratora Milczanowskiego, by pokierował akcją, przysłali do więzienia na Rakowieckiej w lipcu 1969r., by czasowo zastąpił Naczelnika więzienia, który poszedł na urlop. Błąd Milczanowskiego polegał na tym, że jak „nastał”, a w każdym razie przed podaniem mi trucizny, powinien był, chociażby dla zasady, na wszelki wypadek, zrobić „kipisz” u mnie pod celą, a wtedy znaleźli by WITAMINY, czyli środek, którym miałem możliwość się ODTRUĆ, i zabrać mi je. Trucizna miała działać wolno i w tym czasie wszystkiego można było się spodziewać po szaleńcu, który „dobrowolnie” ją wypił. Drugi „włos”, przypadek, to fakt, że ja wówczas sobie o nich, o tych witaminach przypominałem i wpadłem na genialną myśl, ratować się nimi. Łojewski mnie złamał, w lecie 1969 r. byłem załamany i rozbity całkowicie, zgodnie z jego wolą zwolniłem go z obrony i wysłałem pełnomocnictwo do obrony Palatyńskiemu. „Oni” natychmiast o tym wiedzieli, ale zaraz po pierwszej wyznaczonej w Sądzie Rejonowym w Mińsku rozprawie, na którą on się nie stawił, wysłałem mu obraźliwy list, a on w odpowiedzi zrezygnował. Sąd przydzielił mi obrońcę z

urzędu Ramosa. Ten ukradł z mojego depozytu sądowego 400.-zł, o czym dowiedziałem się dopiero teraz. Dobrowolnie przyjąłem od fryzjera truciznę i dobrowolnie ją wypilem, bo gdybym nie wypił, czekało mnie podejrzenie gardła. Z przerażeniem i szokiem patrzyłem jak powiększała się czarna plama na białku oka, była czarna jak smoła i dotykała i była już tak wielka jak żrenica. Wtedy pomyślałem, że muszę się jakoś ratować, próbowałem zmusić się do wymiotów, ale to nic nie dało. Przypominałem sobie, że mam gdzieś w ciuchach przyniesione mi przez żonę 50 sztuk witamin C i 50 B. Wyciągnąłem to szybko, pogryzłem i popijając wodą połknąłem. Dostownie za chwilę siedziałem na kiblu i cieknęło ze mnie jak z cebra. Tak siedząc straciłem przytomność. Obudziłem się na moment gdzieś na korytarzu po uderzeniach w policzki i usłyszałem jak jeden ze stojących nade mną klawiszy mówił: „do głębokiego zatrucia nie doszło” a drugi dodał: „nie możemy go wywieźć do szpitala”. Tak doszło (na razie) do FIASKA olbrzymiej operacji mającej na celu usadowienie generała Moczara na stanowisku Pierwszego Sekretarza PZPR. Na temat MARCA 1968 historycy opublikowali wiele opracowań i wszyscy wspominają o podejrzeniu, co było celem tych wydarzeń „dyrygowanych” przez „partyzantów” Moczara. ŻADEN z nich nie daje żadnego wyjaśnienia, jak to się wszystko stało i dlaczego Moczar do władzy nie doszedł.

Co było dalej, czytajcie dalej, to się dowiecie.

Na zakończenie tego „wprowadzenia” chciałbym jeszcze krótko, ale dobitnie wyjaśnić sprawę CZARNEJ PLAMY NA BIAŁKU JEDNEGO OKA, bo w książce (moim zdaniem, bardzo ciekawej, dostępnej na mojej stronie internetowej www.jerzykowalczyk2.republika.pl) „Wypalili mi oko trucizną w herbacie -Akt Oskarżenia – przeciw Służbie Bezpieczeństwa i politykom w Polsce”, ja tego wyraźnie nie uwypukliłem. Wszyscy okuliści w Polsce, po których łączyłem przez 2/3 lata, bo bolała mnie strasznie głowa z tyłu za tym okiem) do czasu usunięcia oka, twierdzili kategorycznie, że zatrucie jednego oka jest niemożliwe i jednocześnie myśleli: „on ma urojenia”. Ten fakt, nie wypowiedany głośno, ułatwił znakomicie lekarzowi Edwardowi Krzemińskiemu (jego żona 2-3 lata temu popełniła spektakularne samobójstwo – skoczyła z mostu Poniatowskiego do Wisły – pewno z niej też robił wariatkę), adwokatowi Janowi Balickiemu, prokuratorowi Pałuchowej i Sądowi Wojewódzkiemu w Warszawie, ubezwłasnowolnienie CAŁKOWITE mojej osoby, w 2-3 lata później. Gdy w 1980 roku znalazłem się w NRF i postanowiłem aferę opublikować, musiałem wyjaśnić kwestię tej plamy. Napisałem jednakowe listy do pięciu Augenklunik w Kolonii, Monachium, Frankfurtu, Stuttgartu i Giessen. Zadałem im krótkie pytanie, czy i jak jest możliwe zatrucie tylko jednego oka. Od wszystkich pięciu profesorów, szefów tych Klinik, natychmiast otrzymałem odpowiedź. Ja cytuję dalej ich wypowiedzi. Dwóch prawie śmieje się ze mnie, dwóch uczone wykłady pisze, że to jest niemożliwe. Ale jednak piąty daje odpowiedź na zagadkę: „w zasadzie to jest niemożliwe, ale jednak można sobie wyobrazić, że jeśli jedno z oczu było kiedyś wcześniej uszkodzone, lub odmienione, to trucizna zaatakuj tylko to słabsze oko, a dobre, zdrowe, oszczędzi”. A więc, sprawa jest możliwa i właśnie u mnie była do wykonania. Ja w dzieciństwie miałem lewe oko uszkodzone i zszywane. SB wiedziało o tym.

To na razie byłoby wszystko, a do każdej z części tej książki dokumentalnej i relacji o zbrodni komunistycznej dokonanej na mojej osobie, która to ZBRODNIA, jest nadal

kontynuowana przez sądy i Trybunał Konstytucyjny i Instytut Pamięci Narodowej, dalszym naruszaniem prawa i rzeczywistości., składam krótkie dodatkowe wyjaśnienia.